

Wspomnienia prof. Aleksandra Ożarowskiego z 1939 roku Memories of Professor Aleksander Ożarowski from 1939

Osobom interesującym się zielarstwem nie trzeba przedstawiać sylwetki Profesora Aleksandra Ożarowskiego. To jedna z najbardziej zasłużonych dla polskiego ziołolecznictwa osób. Urodził się w 1916 roku w Prusakowie (obecnie Chmielnicki) na Ukrainie, zmarł w wieku 95 lat 23 czerwca 2011 roku.

Profesor Ożarowski był przyjacielem utworzonego w 2007 roku Herbarium św. Franciszka. Mogliśmy korzystać z jego wiedzy i rad przy rozpoczynaniu działalności. Była to dla nas ogromna i nieoceniona pomoc. Przekazał bezinteresownie do biblioteki Herbarium część swoich książek, dzięki czemu mogliśmy pogłębiać fachową wiedzę.

Na I Franciszkańskiej Konferencji Zielarsko-Farmaceutycznej 15 sierpnia 2007 roku Profesor Ożarowski wygłosił referat pt.: *Sposoby zapobiegania i wczesnego naturalnego działania w chorobie nowotworowej*. Mieliśmy jeszcze przyjemność wysłuchać jego wykładu na kolejnej konferencji w 2008 roku. Odwiedzał nas, dopóki pozwalały na to zaawansowany wiek i zdrowie.

W ostatnim czasie dotarły do nas wspomnienia Profesora Ożarowskiego o jego udziale w walkach obronnych w 1939 roku. Zostały one przekazane przez rodzinę Profesora Panu Doktorowi Józefowi Kaczorowi, który zaproponował by zamieścić je w naszej publikacji. Czynimy to z ogromną przyjemnością. Chętnie przypomnimy, że Profesor był nie tylko wspaniałym naukowcem, ale także Polakiem-patriotą, który zawsze pozostanie w naszej pamięci.

5 maja 1939 roku otrzymałem kartę mobilizacyjną do natychmiastowego stawienia się do 21 Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy” w Cytadeli Warszawskiej w stopniu plutonowego podchorążego z wnioskiem o awansowanie.

W czasie Wielkanocy 1939 roku mieliśmy dwutygodniową przerwę w studiach, a ja otrzymałem wezwanie z 21 Pułku z Cytadeli do odbycia ćwiczeń aplikacyjnych na stołach sztabowych. Byłem wtedy w stopniu plutonowego podchorążego, a awans na podporucznika rezerwy wysłano do zatwierdzenia ministrowi spraw wojskowych. Analogicznie sytuacja miała miejsce z pewnym moim kolegą z podchorążówki.

Gdy stawiliśmy się obaj w pułku w Cytadeli, okazało się, że tylko my dwaj jesteśmy podchorążymi, a spora grupa pozostałych to oficerowie rezerwy. Oni otrzymywali pensje w wojsku, a my dwaj tylko regulaminowy żołd. Wobec tego z kasy pułkowej zapłacono nam za obiady w kasynie oficerskim. Siedzieliśmy przy dużym stole wraz z oficerami rezerwy i zawodowymi, a także z dowódcą

21 Pułku Piechoty Stanisławem Sosabowskim. Prowadzone ćwiczenia dotyczyły taktyki i dowodzenia kompaniami w ramach batalionu i pułku. Odtwarzały one sytuacje w warunkach bojowych. Po tych ćwiczeniach wróciłem na studia uniwersyteckie, ale byłem przekonany, że wojna jest bliska i nieunikniona.

Po Wielkanocy poprosił mnie na rozmowę proboszcz parafii Targówek ks. Potocki i zaproponował, abym w sali parafialnej na plebanii wystąpił jako prelegent i informował parafian o stosunkach panujących w Związku Radzieckim – tamtejszym poziomie życia, tzw. sojuszu robotniczo-chłopskim, braku swobód obywatelskich. Miałem trzy wystąpienia na ten temat, a sala była zawsze pełna słuchaczy. Wówczas uświadomiłem sobie kolejny raz, iż jesteśmy blisko wybuchu wojny, a aktywne uświadamianie naszego społeczeństwa ma na celu osłabienie lub zniwelowanie dywersyjnych poczynań krajowych komunistów.

Już wkrótce, bo 5 maja, zostałem zmobilizowany, założyłem mundur polowy i byłem dowódcą drużyny strzeleckiej. Brałem też udział w pokazowych ćwiczeniach, gdy do Polski przyjechał brytyjski generał Ironside. Znajdowałem się w grupie wojsk nacierających na broniących się podchorążych zawodowych z Zambrowa. Finał natarcia nastąpił na poligonie Rembertowskim – po sforsowaniu zasieków w płocie i szturmie na bagnety. Generał Ironside pilnie obserwował te ćwiczenia i gdy wrócił do Anglii, wyraził opinię, że armia polska nie sprosta wojskom niemieckim w przyszłej wojnie, gdyż brak jej nowoczesnego sprzętu wojskowego oraz nowoczesnej taktyki użycia czołgów.

Po tych ćwiczeniach około 23 maja zostałem wysłany w okolice Łucka, miasta leżącego niedaleko granicy sowieckiej nad Styrem. Stacjonowaliśmy w jednej z pobliskich wsi wraz z 12 studentami 4. lub 5. roku studiów medycznych, należących do tzw. Legii Akademickiej, organizacji paramilitarnej utworzonej na wyższych uczelniach w Polsce. Wieś, w której przebywaliśmy, była zamieszkała przez rolników polskich i białoruskich (po 50%). Obie społeczności żyły od lat w zgodzie i współpracowały ze sobą, prowadząc np. mleczarnie wytwarzające też wysokogatunkowe masło. Jednak ze strony sowieckiej przenikali prowokatorzy podburzający młodzież białoruską do wystąpień przeciw polskim rolnikom. Musiał interweniować polski Korpus Ochrony Pogranicza (KOP). W trakcie tej interwencji zginęli dwaj uzbrojeni Białorusini. Została zasiana wrogość między Białorusinami i Polakami.

Dla złagodzenia opisanej sytuacji zostałem właśnie wysłany w ten region jako dowódca grupy studentów medycyny. Zadaniem moim było zorganizowanie dla obu skłóconych grup ludności opieki medycznej, szczególnie dla dzieci i młodzieży i osób w podeszłym wieku, a także dla zwierząt domowych i hodowlanych. Ponadto celem moim było podniesienie warunków higienicznych,

kontrola jakości wody w studniach, utylizacja odpadów żywnościowych oraz szeroko pojęta akcja popularnych odczytów o tematyce higieniczno-zdrowotnej. Po rozdzieleniu obowiązków na poszczególnych członków mojej grupy, wybraniu miejsca, urzędzeniu noclegów i żywienia oraz ustaleniu regulaminu całodobowej ochrony mojej grupy, odbyłem rozmowy informujące o celach naszej akcji z księdzem katolickim oraz prawosławnym z pobliskiej cerkwi. W obu rozmowach zostałem dobrze przyjęty, a ksiądz prawosławny zapytał, czy dla rodzin białoruskich, z których wywodzą się dwaj zabici młodzieńcy, przewidziano rzeczową rekompensatę. Odpowiedziałem, że poinformuję o tym właściwy urząd w Łucku. Po dwóch tygodniach mojej działalności w tamtym terenie zostałem wezwany telefonicznie do natychmiastowego powrotu do Warszawy, a moje stanowisko objął ktoś inny. Po powrocie z Łucka do Warszawy zameldowałem się w dowództwie 21 Pułku Piechoty w Cytadeli i ponownie zostałem dowódcą drużyny w mojej dawnej kompanii. Wraz ze mną włączono do pułku 11 oficerów rezerwy, wśród nich mojego kolegę ze Szkoły Podchorążych Rezerwy.

Po kilku dniach nasz pułk opuścił Cytadelę i pomaszerował do Puszczy Kampinoskiej. Tam na otoczonej lasem polanie rozbito namioty, postawiono kuchnię, ulokowano zapasy żywności, stanął również namiot dowództwa pułku oraz łączności radiowej. Wykopano studnię głębinową dającą dobrą wodę pitną, którą używano także do mycia. W pewnym oddaleniu znajdowały się sanitariaty. Obozowisko znajdowało się około 2 km od wsi Dziekanów Leśny i od magazynów z amunicją w Palmirach, mieszczących się w parterowych drewnianych barakach ukrytych wśród drzew i połączonych torem kolejowym z dworcem PKP Warszawa Gdańska.

Z tego leśnego obozu wychodziliśmy w różnych kierunkach na ćwiczenia. Było to szkolenie kadry dowódczej niższych stopni, od podchorążego do porucznika rezerwy. Dowodzono najpierw drużyną strzelecką, następnie plutonem i na koniec kompanią. Szkolenie stanowiło rodzaj lekcji dla podoficerów i żołnierzy rezerwistów, których pewną ilość powołano do czynnej służby. Trwało ono do 1 sierpnia, a dwa dni później odbył się egzamin. Dowodziłem kompanią piechoty z drugiego batalionu 21 Pułku Piechoty, zaś mój kolega ze Szkoły Podchorążych kompanią z pierwszego batalionu. Moim zadaniem była obrona na wyznaczonym odcinku wraz z drogą łączącą, natomiast przeciwnikiem atakującym był plutonowy podchorąży, dysponujący kompanią strzelecką wspieraną przez trzy czołgi. Wszystkie rozkazy wydawane przeze mnie i mojego przeciwnika były skrupulatnie notowane przez oficerów rozjemców. Po zakończeniu akcji nastąpiło omówienie wyników i wniosków na podstawie rozkazów, które wydał mój

przeciwnik i ja. Przebiegiem tego omówienia kierowali pułkownik De Lavoux, dowódca piechoty 8 Dywizji, oraz major Rozborski, zastępca dowódcy 21 Pułku. W tym egzaminie udział wzięli też oficerowie rozjemcy i porucznik kontraktowy Matykoszwili – adiutant pułkownika Nowaka, dowódcy 13 Pułku Piechoty. Obecny był również dowódca 8 DP gen. Antoni Szyling, który w 1939 roku dowodził Armią Kraków. Aktywność kolegi i moją w opisanym ćwiczeniu oceniono jako zgodną z otrzymanymi rozkazami i prawidłową w warunkach działań bojowych. Poinformowano, że oczekuje się rychłego zatwierdzenia naszych nominacji na podporuczników przez ministra spraw wojskowych.

5 sierpnia obóz w Kampinosie został zwinięty i pododdziały 21 Pułku Piechoty powróciły do Cytadeli. Podejmowano różne prace, m.in. zajmowano się zaopatrzeniem żywnościowym, przygotowaniem sprzętu bojowego, ćwiczebnym strzelaniem, poborem z Palmir amunicji do karabinów i armat, kompletowaniem kucyków huculskich do pojazdów. Ponadto przygotowywano schrony w fortyfikacji mające służyć załodze podczas bombardowania lotniczego i ostrzału artyleryjskiego.

18 sierpnia rozpoczęła się mobilizacja rezerwistów. Do naszego pułku przybywali rezerwiści z Warszawy i jej okolic oraz z północno-wschodniej Polski, głównie Białorusini. Trzeba było ich umundurować, ewidencjonować i skierować do tych oddziałów, które nie miały pełnych stanów etatowych. W tym dniu miałem służbę jako dowódca głównej warty. Wstęp na teren Cytadeli mieli tylko rezerwiści z kartami poborowymi – i to głównie ze stolicy. Tymczasem pod główną bramą gromadził się tłum cywili, głównie kobiet, aby pożegnać się z najbliższymi lub coś im przekazać. Przez cały dzień mobilizacji wielokrotnie tłumaczyłem, że wstęp do Cytadeli jest zakazany dla cywilów, zresztą znalezienie konkretnej osoby było wprost niemożliwe, bo trwa ewidencjonowanie przybyłych rezerwistów.

Gdy formował się wymarsz pułku, a trwało to kilka godzin nocnych, otrzymałem rower i pojechałem do mieszkania na Pragę, aby pożegnać się z matką. Była na to przygotowana, miała szkaplerz z medalikiem Matki Bożej Częstochowskiej. Klękniętem, matka założyła mi go na szyję i powiedziała: „Kochany synu, niech cię Matka Boża strzeże i ma w opiece”. Ucałowała mnie i pożegnała znakiem krzyża. Gdy wróciłem do kolumny pułkowej, mogłem jeszcze telefonować z wojskowej centrali do mojej narzeczonej. Była nią uznawana za piękność Melania Paczowska, obdarzona wybitnym talentem do gry na fortepianie. Pożegnałem się z nią i jej matką, życząc przetrwania w dniach grozy, które nastąpią.

22 sierpnia cały 21 Pułk Piechoty otrzymał pierwszą jednostkę ostrej amunicji do karabinów ręcznych i maszynowych. Późnym wieczorem opuściliśmy

Cytadelę i po nocnym marszu dotarliśmy do Modlina. Następnego dnia przy ładnej pogodzie drugi batalion, w którym służyłem, rozpoczął renowację fortu zakroczymskiego. To jeden z fortów otaczających Twierdzę Modlin. Został zbudowany przez Rosjan za cara Mikołaja, od dawna był nieużywany i bardzo zaniedbany. Trzeba go było oczyścić z chwastów i krzewów, wykopać rowy strzeleckie oraz liczne schrony, wreszcie przygotować przedpole.

25 sierpnia prace na forcie zakroczymskim zostały zakończone i cały 21 Pułk Piechoty maszerował w kierunku granicy polsko-niemieckiej w rejon Mławy. Były już zbudowane stanowiska dla kaemów z kulomiotami. 28 sierpnia mój batalion zatrzymuje się we wsi położonej około 10 km od Mławy, na lewo od szosy prowadzącej do tej miejscowości. Utworzono Armię „Modlin” dowodzoną przez gen. Emila Krukowicza-Przedrzymirskiego. Tworzyło ją dziesięć dywizji piechoty broniącej pasa umocnień przy granicy z Prusami Wschodnimi. W odwodzie znajdowała się 8 Dywizja Piechoty, składająca się z 13 Pułku Piechoty Pułtuskiej, 21 Pułku Piechoty z Warszawy oraz 32 Pułku Piechoty z Modlina. Dwie brygady kawalerii ubezpieczały oba skrzydła Armii Modlin, zaś 8 Pułk Lotniczy ochraniał niebo.

1 września o godzinie 4 rano zadzwonił telefon: dowódca naszego pułku wezwał mnie do natychmiastowego stawienia się. Miałem około 2,3 km do przebycia miedziami do szosy, przy której stacjonował sztab 21 Pułku Piechoty dowodzonej przez płk. dyplomowanego Stanisława Sosabowskiego. Była godzina 4.40, gdy usłyszałem głuchoe wybuchy z kierunku Mławy. Sądziłem, że jest to incydent graniczny, ale po chwili pojawił się samolot niemiecki i zaczął ostrzeliwać drogę prowadzącą do Mławy. Zrozumiałem, że to początek wojny.

W dowództwie powiedziano mi, że nadeszło potwierdzenie mojego awansu na podporucznika. Wróciłem do mojej kompanii i zameldowałem dowódcy o nominacji, także szefowi kompanii i żołnierzom z mojego plutonu. Nie miałem możliwości zmienić swoich dystynkcji, brakowało również dokumentów potwierdzających moją nominację.

Rozpoczęło się fasowanie amunicji do karabinów i armat przeciwpancernych, ogłoszono alarm bojowy. Na nasze pozycje uderzyła niemiecka 4 Armia złożona z 5 dywizji piechoty, korpusu pancernego i kawalerii. Trzeciego dnia walk nastąpiło przełamanie obrony na ziemnych fortyfikacjach 20 Dywizji Piechoty i rozpoczął się ruch okrążający niemieckich czołgów. Doszło do spotkania z polską 8 Dywizją Piechoty, walki trwały do wieczora 4 września. Nastąpił nasz odwrót ku Modlinowi. W tym czasie miało miejsce zamieszanie, zwłaszcza w 13 Pułku Piechoty, który poszedł w rozsypkę. Nasz pułk z Cytadeli, świetnie dowodzony przez płk. Sosabowskiego, dotarł w całości do Modlina.

6 września otrzymałem rozkaz natychmiastowego powrotu do Cytadeli w Warszawie i organizowania kompanii strzeleckiej złożonej z żołnierzy różnych rozbitych oddziałów celem uzupełnienia dotychczas poniesionych strat. Po kilku dniach udało mi się wysłać do Modlina kompanię strzelecką dowodzoną przez doświadczonego sierżanta. Została włączona do 11 Pułku Piechoty toczącego ciężki bój w obronie Nowego Dworu. Poniesiono tam wielkie straty. Powierzono mi organizowanie następnej kompanii uzupełniającej. W tym czasie Warszawa, a z nią i Cytadela były atakowane od 8 września przez niemiecką artylerię i lotnictwo oraz otaczające wojska niemieckie.

Do Warszawy docierały różne oddziały z rozbitych polskich formacji, np. Grupa Operacyjna gen. Juliusza Zulaufa, sztab gen. Juliusza Rómmla, niektóre pododdziały z otoczonych armii „Poznań” i „Pomorze” oraz część grupy gen. Tadeusza Kutrzeby z Puszczy Kampinoskiej. Cytadela Warszawska zappełniała się stopniowo żołnierzami, a dowódcą całej załogi został gen. Walerian Czuma. Nieznany mi podpułkownik wyznaczył mnie na oficera łącznikowego między nim a dowództwem obrony Warszawy, mieszczącym się w pałacu Zamojskich – róg Świętokrzyskiej i Nowego Światu. Codziennie przyjeżdżałem z Cytadeli z meldunkami i powracałem z rozkazami. Odbywało się to pod ogniem artylerii niemieckiej i bombardowaniami lotniczymi. 17 września, wracając na rowerze do Cytadeli, zatrzymałem się przy dzwonnicy kościoła św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Nad moją głową przelatywały samoloty niemieckie i zrzucały na Zamek Królewski wypełnione fosforem bomby zapalające. Jedna z wież zaczęła dymić. Pożarów wznieczanych przez bomby fosforowe nie daje się ugasić zwykłymi środkami. Trzeba je zasypywać piaskiem. Zegar zamkowy zatrzymał się na godzinie 11.15, ale późniejsze ataki bombami burzącymi i wysadzanie ścian Zamku dokonały dzieła zniszczenia.

18 września w nocy uformowała się na ul. Marymonckiej duża kolumna różnych pododdziałów zbędnych w obronie stolicy, a potrzebnych w obronie Modlina. Były też liczne tabory i moja kompania zapasowa. Całością dowodził płk. De Laveaux, dowódca piechoty dywizyjnej 8 DP. Grupa ta wyruszyła późno w nocy drogą wolną od nieprzyjaciela przez Łomianki, Łomnę i Cząstków ku Twierdzy Modlin. Gdy nastał świt, byliśmy jeszcze daleko od Modlina, więc groził nam atak lotnictwa niemieckiego. Dlatego dowódca wydał rozkaz, aby długi ogon taborowy schronił się na skraju Puszczy Kampinoskiej i czekał tam do zmierzchu. Natomiast piechota miała przyspieszyć marsz w szyku luźnym i dotrzeć do twierdzy. Nie wiem, jak to się stało, że Niemcy dowiedzieli się o tym i najpierw samoloty zniszczyły nasze tabory, a następnie zaatakowały grupę wojskową. Dokonaliśmy rozczłonowania i ukryliśmy się w terenie blisko brzegów Narwi. Przetrwaliśmy

wielogodzinne bombardowanie, ale mieliśmy straty w ludziach. Wraz z taborem straciliśmy nasze tornistry pełne amunicji, żywności i różnych rzeczy osobistych. Artyleria przeciwlotnicza rozmieszczona wokół Modlina nie otworzyła ognia do atakujących nas samolotów, gdyż kończył się zapas pocisków, a te, które wieźliśmy w taborze, wybuchały w trakcie niemieckiego bombardowania.

Dowódcą obrony Modlina był gen. Wiktor Thommée. Kazał on umieścić szpital w potężnym i dobrze zamaskowanym schronie. 19 września w nocy otrzymałem rozkaz zlurowania załogi fortu zakroczymskiego, tego samego, który był unowocześniany i rozbudowywany w sierpniu przez nasz 21 PP. Fort ten miał sztuczną wyniosłość, a około 100 m od niego znajdowała się pozycja niemiecka na wzniesieniu. Między pozycjami znajdowało się zagłębienie terenu porośnięte krzewami i chwastami. Kompania, którą dowodziłem, miała niepełny skład, liczyła 143 żołnierzy, w tym sześciu podoficerów. Była uzbrojona w karabiny ręczne i cztery karabiny maszynowe. Nie mieliśmy granatów ręcznych. Zaopatrzone nas tylko w chleb i czystą wodę do picia. Wymiana załogi fortu w Zakroczymiu odbywała się tuż po zachodzie słońca, małymi grupami, trwała około dwóch godzin. Nieprzyjaciel nie reagował, nie padł ani jeden strzał. W jednym ze schronów w forcie był aparat telefoniczny, którym nadałem meldunek do dowództwa o obsadzeniu fortu. Przypomniano mi, że w schronie znajduje się wyrzutnia rakiet świetlnych dla oświetlenia przedpola i skutecznego ognia z broni maszynowej, gdyby Niemcy atakowali w nocy. Ułożyłem program służby obserwacyjnej, godziny zmian, a na bliskim przedpolu dwa nocne podsłuchy. Mimo takiego ubezpieczenia byłem podekscytowany, dlatego też dwukrotnie w nocy sprawdzałem stopień naszej czujności.

Ani tej nocy, ani następnego dnia i nocy nie nastąpiło starcie, choć obie strony obserwowały siebie, o czym świadczyły odblaski z lornetek. Byłem tym zaskoczony. Dopiero później dowiedziałem się, że w forcie zakroczymskim blokował nas mały oddział piechoty ze znaczną ilością broni maszynowej, a główny wysiłek i ciężkie walki trwały wokół Nowego Dworu, który nie został zdobyty, lecz ominięty łukiem. Główne natarcie niemieckie poszło prawym brzegiem Wisły w kierunku Legionowa, a celem było zdobycie Pragi.

18 września późnym wieczorem otrzymałem rozkaz dowództwa obrony Modlina, aby w nocy opuścić fort zakroczymski. Na moje miejsce wprowadzony został oddział piechoty z jakiegoś pułku poznańskiego, który przebił się z okrążenia niemieckiego po bitwie nad Bzurą. Miałem moją kompanię doprowadzić do twierdzy, nakarmić i rano 22 września wyjść z Modlina, by szosą po lewej stronie Wisły dojść do Warszawy i dołączyć do 21 PP. Nasz pułk trzy dni wcześniej opuścił Modlin i po zręcznym manewrze i akcji bojowej dotarł po prawej

stronie Wisły do Pragi i stanął w obronie dzielnicy Grochów. 21 września późnym wieczorem otrzymałem rozkaz dowództwa obrony Modlina, aby w nocy opuścić fort zakroczymski. Na moje miejsce wprowadzony został oddział piechoty z jakiegoś pułku poznańskiego, który przebił się z okrążenia niemieckiego po bitwie nad Bzurą. Miałem moją kompanię doprowadzić do twierdzy, nakarmić i rano 22 września wyjść z Modlina, by szosą po lewej stronie Wisły dojść do Warszawy i dołączyć do 21 PP. Nasz pułk trzy dni wcześniej opuścił Modlin i po zręcznym manewrze i akcji bojowej dotarł po prawej stronie Wisły do Pragi i stanął w obronie dzielnicy Grochów.

22 września rano poprowadziłem swoją kompanię ku mostowi drogowemu nad Narwią, aby następnie drogą na Czosnków i Łomianki dotrzeć do Warszawy. Nad rzeką unosiła się bardzo gęsta mgła, nie było nic widać na odległość 7–8 m, wysokie łuki mostu tonęły w niej. Od czasu do czasu strzelało jedno działo niemieckie, a pociski padały z pluskiem do wody. W górze słychać było charakterystyczny odgłos samolotu zwiadowczego. Samoloty te nazywaliśmy „bocianami”, gdyż głośno klekotały. Było oczywiste, że odbywa się korygowanie celności artylerii, tak aby pociski padały na jezdnię, a nie do wody. Wobec tego nie mogłem prowadzić swojej kompanii w zwartym szyku, tylko w luźnym, z dużymi odstępami pomiędzy żołnierzami i między drużynami prowadzonymi przez kaprali, i to po obu stronach mostu. Stałem więc na środku mostu i znakami rąk regulowałem ruch.

Od strony twierdzy przyjechał wojskowy terenowy łazik, zatrzymał się przy mnie i siedzący w nim płk. Nowak, dowódca 13 PP, zawołał do mnie: „Wskażcie na stopień, podrzucę was do przodu”. Ja zasalutowałem i powiedziałem: „Dziękuję, panie pułkowniku, ale muszę wrócić do gen. Tomméeego”. Samochód ruszył przez most i miał zawieść płk. Nowaka do Palmir blisko Warszawy. Tam znajdowały się duże magazyny różnych pocisków, których zaczęło brakować w Twierdzy Modlin. Ale ja wcale nie musiałem wracać do Modlina i nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Szybkim krokiem przeszedłem most na Narwi i tuż za nim dostrzegłem we mgle sylwetkę łazika. Podeszedłem bliżej, myśląc, że to jakaś awaria. Nagle stwierdziłem, że oni wszyscy już nie żyli – płk Nowak, obok niego żołnierz – kierowca samochodu, za nimi major – prawdopodobnie adiutant dowódcy, oraz młody porucznik. Gdzie uderzył pocisk artyleryjski? W prawy stopień pojazdu, na którym miałem stanąć, gdybym skorzystał z propozycji podwiezienia. Ten stopień samochodu był tylko wygięty, a to oznaczało, że został trafiony pociskiem rozpryskowym i drobne jego odłamki spowodowały śmierć czterech osób. Wysłałem natychmiast gońca na rowerze z meldunkiem do dowództwa Twierdzy Modlin i czekając na jego powrót pomyślałem, że gdybym skorzystał z podwiezienia, zostałbym rozszarpany razem z tzw. medalikiem

śmierci i moim numerem ewidencyjnym. Prawdopodobnie nikt by nie rozpoznał, kto zginął, ale czterech wojskowych może by ocalało. Takie są nieodgadnione wyroki Opatrzności i trzeba je z pokorą przyjmować.

Po kilku kilometrach intensywnego marszu dotarłem do mojej kompanii, która zgodnie z rozkazem była dobrze ukryta przed obserwacją lotników niemieckich. Poprowadziłem ją do wsi Częstków z zamiarem postoju i posiłku. Po 10–15 minutach usłyszeliśmy świst pocisków armatnich i wybuchy na szosie przecinającej wieś. Natychmiast wyprowadziłem kompanię w prawo na skraj puszczy – Rezerwatu Kampinoskiego. Okazało się, że strzelała do nas artyleria niemiecka nie z rejonu Modlina, lecz z prawego brzegu Wisły z okolic Legionowa – tak daleko dotarła już ofensywa niemiecka, kierując się ku Pradze.

Las dawał mojej kompanii dobre ukrycie, lecz spowalniał ruch. Zbliżaliśmy się do wsi Dziekanów Leśny i stanęliśmy pod wzniesieniem terenowym, które było polem uprawnym leżącej dalej wsi. Naraz z lasu wychodzi kilku żołnierzy w polskich mundurach, z nimi kapitan. Jak się okazało, było to ubezpieczenie niepełnej kompanii piechoty z Armii „Pomorze”, która wydostała się z okrążenia po bitwie nad Bzurą. Kapitan nie miał map tego terenu i nie wiedział, gdzie się znajdował, przez lornetkę nieufnie obserwował pole wznoszące się ku wsi Dziekanów Leśny. Poinformowałem kapitana, że doskonale znam tę okolicę, gdzie się znajdujemy, bo dwukrotnie brałem udział w ćwiczeniach na tym terenie. Zrobiłem mu szkic terenu z zaznaczeniem kierunku na Warszawę i Modlin. Powiedziałem, że idę do Warszawy przez Dziekanów i Palmiry i dam mu sygnał, gdy dotrę do Dziekanowa. Pożegnałem kapitana i poprowadziłem wybrany pluton mojej kompanii celem rozpoznania, czy droga do Warszawy jest wolna. Najpierw tyralierą pokonaliśmy wzniesienie i ustawiliśmy dwa karabiny maszynowe, po czym zaczęliśmy zbliżać się do najbliższych domów we wsi. Napotkaliśmy zwłoki polskiego kawalerzysty, zginął niewiele wcześniej, pewnie dziś rano, nie miał w kieszeniach dokumentów i w pobliżu były wyraźne ślady gąsienic niemieckiego samochodu pancernego. Domyślałem się, że kawalerzysta był rano w Dziekanowie, zobaczył wjeżdżający samochód niemiecki, więc wsiadł na konia i zaczął uciekać, ale samochód okazał się szybszy, pojechał za nim i serią z karabinu maszynowego w plecy zabił go. Ale gdzie w takim razie koń? Znaleźliśmy go bez siodła w stajni trzeciego domu z dużą werandą, wokół której leżały opakowania po niemieckich papierosach. A więc tu zwiad niemiecki znalazł sobie sprzymierzeńców. Pragnę wyjaśnić, że w pobliżu Wisły znajdowała się osada Dziekanów Niemiecki, gdyż mieszkały tam rodziny dawnych osadników niemieckich, ale kilka rodzin przeniosło się do Dziekanowa Leśnego. Był to punkt strategicznie ważny, ponieważ graniczył

z magazynami wojskowymi pełnymi amunicji, z Puszcą Kampinoską, z letnim obozem 21 PP, przebiegała też tamtędy bocznicą kolejowa i szosa do Warszawy. Mieszkańcy Dziekanowa Leśnego poinformowali, że patrol niemiecki dostrzegł naszą obecność, gdyż z wielkim pośpiechem wycofał się ze wsi, zostawiając linie z aparatem telefonicznym, które zniszczyliśmy. Ponieważ szybko ściemniało się, zdecydowałem pozostać do rana. Żołnierzy zakwaterowałem na noc u polskich rolników. Zorganizowałem też dwa patrole wartownicze, które kolejno po dwie godziny krążyły po wsi. Po kilku godzinach snu obudzono mnie w nocy, ponieważ nad wsią pojawił się nierozpoznany samolot, przypuszczalnie niemiecki, który już dwukrotnie krążył w ciemnościach wzdłuż drogi przebiegającej przez wieś. Obudziłem drugi pluton mojej kompanii i z bronią w ręku poleciłem wraz z wartą penetrować wieś. Obawiałem się lądowania skoczków spadochronowych, którzy byli formacją wysoce sprawną i bardzo niebezpieczną. Nie upłynęła godzina, gdy padły dwa strzały karabinowe i po chwili przyszedł kapral z jednego z patroli i zameldował, że zabił niemieckiego szpiega. Sprawa przedstawiała się następująco. Gdy kapral usłyszał w ciemnościach samolot, spoglądał w górę i dostrzegł mrugające nieregularne światło. Jako były harcerz sądził, że mógł to być alfabet Morse' a, tylko do kogo nadawany? Zaczęto się wokół rozglądać i dostrzeżono błyski przy peryferyjnym domu. Cicho podeszli, jakaś postać zerwała się z ziemi, zrzuciła z siebie chustę i zaczęła szybko uciekać. Wezwana do zatrzymania chciała się ukryć, dlatego drugim strzałem została zabita. Okazało się, że była to młoda dziewczyna udająca starą kobietę, nadająca sygnały do samolotu z wojskowej niemieckiej latarki z filtrami czerwonym i niebieskim.

Rano 23 września poprowadziłem mój oddział do Warszawy, idąc powoli i z przerwami ze względu na obronę przeciwlotniczą. Wydałem rozkaz sierżantowi doprowadzenia żołnierzy do Cytadeli. Natomiast ja znalazłem się na placu Wilsona. Obok domu stał starszy mężczyzna, obserwator przeciwlotniczy. Zapytałem, czy jest w domu woda i prąd i czy któryś z lokatorów mógłby mi udostępnić łazienkę, gdyż wracam z frontu i jestem bardzo brudny. Powiedział, iż na trzecim piętrze mieszka z córkami żona majora, który jest w wojsku, tylko nie wiadomo gdzie obecnie się znajduje. Przedstawiłem się pani majorowej, umyłem solidnie, uprałem brudną bieliznę i ubrany w płaszcz kąpielowy majora zostałem poczęstowany herbatą. Radzono mi, abym trochę odpoczął. Położyłem się na sofie i natychmiast zasnąłem. Spałem jednak krótko. Obudził mnie jakiś silny wewnętrzny niepokój. Szybko wciągnąłem mokrą bieliznę i mundur, pożegnałem się i dotarłem do Cytadeli. Moja kompania znajdowała się na miejscu, dawno po śniadaniu. Sierżant zameldował, że wzywa mnie dowódca twierdzy. Stawiłem się natychmiast i otrzymałem rozkaz, aby jutro po południu

być przygotowanym do wymarszu do Palmir po amunicję artyleryjską i do karabinów maszynowych przeciwlotniczych, zużywających bardzo dużo pocisków z powodu nieustannych niemieckich ataków powietrznych. Zarządziłem pełny odpoczynek mojej kompanii, uzupełnienie umundurowania, butów i amunicji do karabinów oraz pobranie pożywienia przed opuszczeniem Cytadeli.

Następnego dnia, czyli 24 września, tuż po obiedzie wyszedłem z kompanią, której skład zmniejszył się do 94 osób, na tory Dworca Gdańskiego. Stało tam 5 wagonów towarowych, do których załadowaliśmy się. Po chwili nadjechał mocno dymiący parowóz i pociągnął wagony torem bocznym ku Palmirom. Wracające z bombardowania Warszawy niemieckie samoloty dostrzegły naszą dymiącą lokomotywę, ale nie atakowały, gdyż nie miały już amunicji, jednak zniżyły lot i obserwowały nasz pociąg. Byłem pewien, że meldunek o nas dotarł do sztabu niemieckiej 8 Armii, dowodzonej przez gen. Johannesesa von Blaskowitza, która szturmowała Warszawę. Z bronią w ręku wyskakiwaliśmy z wagonów w Palmirach, a wyznaczone patrole rozbiegły się w różne strony i penetrowały otaczający las. Meldowały, że nieprzyjaciela nie ma, ale są po nim świeże ślady w postaci kolein po gąsienicach dwu, a może trzech samochodów pancernych. Wagony zostały rozdzielone i ustawione przy magazynach z amunicją. Parowóz schowano wśród wysokich drzew na boczniczy. Dwóch kolejarzy umieściłem w małej strażnicy. Następnie zebrałem sześciu podoficerów, przedstawiłem im nasze położenie i plan pracy. Powiedziałem, że najpóźniej jutro rano zaatakują nas samoloty niemieckie i mogą bombardować magazyny z amunicją, które nie zostały zamaskowane. Będą atakować z niskiego pułapu, bo nie mamy artylerii przeciwlotniczej. Musieliśmy więc załadować w nocy amunicję do wagonów, aby rano zająć się ochroną przeciwlotniczą, wymagającą pełnego poświęcenia i odwagi. Nie można było dopuścić, aby eksplodował chociaż jeden z magazynów z amunicją, bo to by spowodowało zagładę wielu z nas, jeżeli nie wszystkich. Wyznaczyłem grupę dziesięciu żołnierzy i kaprała dowodzącego, którzy idąc po śladach gąsienic niemieckich wozów pancernych, mieli wysunąć się na odległość 100–150 metrów od nas i tam pozostać w zasadzie do odwołania. Gdyby Niemcy usiłowali nas zaskoczyć, co przypuszczalnie mogłoby nastąpić o świcie (czyli 25 września), to należało z bliska otworzyć do nich ogień z karabinów ręcznych i z lekkiego karabinu maszynowego, chroniąc się za pniami drzew, po czym odskoczyć w głąb lasu i połączyć się z nami. Pozostali żołnierze mieli wynosić z magazynów pakiety z amunicją i ładować je do podstawionych wagonów. Sierżant artylerzysta miał wskazywać, w jakim magazynie i miejscu znajdują się potrzebne nam pociski artyleryjskie i zapalniki do nich oraz amunicja karabinowa i świetlna. W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w obronie Cytadeli

stosowano ciężkie karabiny maszynowe strzelające ogniem ciągłym, bez użycia celowników, w sposób przypominający kierowanie przez strażaków strumienia wody na źródło pożaru. Celowniki stały się bezużyteczne, ponieważ samoloty niemieckie były bardzo szybkie. Jednak jednoczesny ostrzał samolotu przez dwa karabiny maszynowe „sposobem strzeleckim” powodował uszkodzenie kadłuba lub skrzydeł samolotu i jego wycofanie z użycia. Amunicja do karabinów lotniczych została umieszczona w długich taśmach (nazywało się to gurtowaniem) i pociski metalowe układano przemiennie z pociskami zapalającymi. Gdy karabin przeciwlotniczy strzelał, powstawała smuga świetlna, którą było łatwo skierować ku atakującemu samolotowi. Gurtowanie amunicji trwało nieraz całą noc i zmieniały się grupy pracujących żołnierzy, tak duże było zużycie amunicji podczas nieustannych nalotów na Cytadelę.

Wracam do opisu naszych czynności w Palmirach. W nocy ładowaliśmy skrzynie z pociskami, przenosząc je ostrożnie z magazynów na znaczną odległość do podstawionych wagonów. Nie mieliśmy jakichkolwiek urządzeń, tylko mięśnie żołnierzy, ale zmęczenie narastało, a wraz z nim zapotrzebowanie na wodę i pożywienie. Ogłaszałem więc przerwy na odpoczynek. Gdy zaczął się świt 25 września, mieliśmy załadowane około 80% potrzebnej nam amunicji. Z niepokojem patrzyłem na jaśniejące niebo, czy nie pojawią się samoloty nieprzyjaciela. Postawiłem dwóch żołnierzy obserwujących dach, czy nie został przebity pociskiem zapalającym. Natomiast na zewnątrz magazynu dwaj żołnierze mieli obserwować, czy taki pocisk nie padł w pobliżu. Pocisk zapalający tworzyła aluminiowa rura o długości około 80 cm, wypełniona mieszanką fosforową, która po uderzeniu w jakąś twardą powierzchnię włączała zapalnik. Pocisk taki nie wybuchał, tylko rozgrzewał się, stapiał powłokę aluminiową, aż mieszanka fosforowa wylewała się, zapalała i wywoływała pożar, co w przypadku magazynu z pociskami powodowało nieobliczalną w skutkach eksplozję. Jeżeli pocisk zapalający wpadał do magazynu z bronią, trzeba go było natychmiast odnaleźć wśród skrzyń z amunicją, wyrzucić z budynku i obficie obsypać piaskiem. Jeżeli pocisk spadał poza magazynem czy budynkiem, to trzeba go było zasypać piaskiem i usunąć wszelkie materiały palne, aby nie wywołał pożaru np. igliwia, suchych liści, odłamanych gałęzi lub uschniętych krzewów, których dużo znajduje się w każdym lesie, zwłaszcza przy braku opadów, jak to było w pamiętnym wrześniu 1939 roku. Jeżeli niemieckie samoloty zaatakowałyby nas bombami burzącymi, to trzeba by było natychmiast chwycić ustawioną w kozłach broń i oddalić się biegiem w las na co najmniej 100 m od magazynów i tam położyć się na ziemi. Po pewnym czasie miałem głosem wydać rozkaz, który należało głośno powtórzyć, aby wszyscy rozproszeni go usłyszeli i wykonali.

Była godzina 8.15, gdy zameldowano mi, że kończy się ładowanie amunicji do wagonów. Odetchnąłem z ulgą i poszedłem do strażnicy, gdzie znajdowali się dwaj kolejarze. Po chwili usłyszałem dźwięk samolotu. Stałem pod drzewem i obserwowałem przez lornetkę. Nie był to typ samolotu nurkującego „Stukas”, którego się obawiałem od czasu, gdy miałem z kompanią wejść do Twierdzy Modlin. Samolot zatoczył duży krąg nad lasem, nawrócił ku nam i rzucił dwa pociski zapalające, które z charakterystycznym świstem upadły blisko mnie, ale dość daleko od magazynów z amunicją. Żołnierze zareagowali natychmiast i łopatkami zasypali je piachem. Czekałem, co będzie dalej, upływały minuty, później kwadrans, nim usłyszałem następny samolot, który zachował się podobnie jak poprzedni, lecz rzucił trzy zapalające pociski, nie na nas bezpośrednio, tylko dość daleko na las. Chodziło oczywiście o wywołanie pożaru i „wykurzenie” nas z lasu. Jednak nasi żołnierze odnaleźli te fosforowe pociski i zasypali je piaskiem. Czekałem na następny nalot, upływały godziny, była pora obiadowa, więc zjedliśmy resztki chleba. Żołnierze kładli się pod drzewami i natychmiast zasypiali, było cicho i ciepło, a wielu z nich wyczerpała ciężka nocna praca. Przypomniałem sobie, że będący pułkownikiem dowódca Cytadeli w czasie mojej wczorajszej odprawy do Palmir powiedział, że oficer w każdej sytuacji, nawet wojennej, powinien dbać o swój wygląd, dlatego gdy wrócę z amunicją do Cytadeli i będę miał złożyć meldunek, powinienem się pozbyć wielodniowego zarostu. Jeden z żołnierzy był fryzjerem, miał brzytwę, a w manierce wodę. Podczas golenia drugi żołnierz stał obok i obserwował niebo, aby nie zaskoczył nas samolot. Zostałem gładko ogolony, a skoro słońce chyliło się coraz niżej, zdecydowałem, że można wracać do Cytadeli.

Powiadomiłem najpierw kolejarzy, aby przygotowali lokomotywę i zaczęli wazy z amunicją. Następnie zgromadziłem wszystkich moich żołnierzy, tych z ubezpieczeń oraz tych śpiących, rozdzieliłem ich na poszczególne wagony i powiedziałem, że wyruszamy. Parowóz dymił jak poprzednio. Rozglądałem się po niebie, ani śladu samolotów. Czyżby Niemcy o nas zapomnieli? To niemożliwe. Dostrzegłem też łunę pożarów nad Warszawą i wielką chmurę dymu. Wyglądało to przerażająco. Na szczęście udało się – wjechaliśmy na Dworzec Gdański, a kolejarze rozdzielili wagony z amunicją i ustawili je na osobnych torach. Podziękowałem im za dzielną służbę, a żołnierzy poprowadziłem do Cytadeli.

Gdy przekroczyliśmy główną bramę Cytadeli, ukazał się nam ogrom zniszczeń spowodowanych intensywnymi bombardowaniami. Dopalały się dwa duże budynki koszarowe i magazyny z żywnością, z których załoga twierdzy wyniosła nagromadzone produkty pod gradem pocisków i bomb burzących. Uszkodzone też były inne budynki, m.in. kasyno oficerskie, siedziba dowództwa, izba chorych,

wartownia oraz różne przybudówki. Ocalały obszerne pomieszczenia kuchenne, piekarnia i część budynku koszarowego.

Moja kompania została umieszczona w bunkrach Cytadeli. Jeszcze za czasów carskich nasypało na te bunkry kilkumetrową warstwę ziemi, chroniącą przed pociskami i mniejszego kalibru bombami. Otrzymaliśmy obfity posiłek i odpoczynek dla regeneracji sił po ciężkiej pracy, niedożywieniu i braku snu. Złożyłem pułkownikowi meldunek o naszej akcji w Palmirach i amunicji w wagonach. Dowódca Cytadeli był wyraźnie zdenerwowany i odłożył dalszą rozmowę na jutro. Następnego dnia rano, czyli 26 września, wyznaczyłem żołnierzy do uporządkowania naszych bunkrów, które były pełne różnych skrzyń, worków, opakowań, pojemników blaszanych itd., wypełnionych żywnością, jakimiś księgami, dokumentami, aparatami, różnymi drobiazgami uratowanymi z płonących budynków. Trzeba było je posegregować i przенosić na wyznaczone miejsca.

Po obiedzie wezwał mnie pułkownik i szczegółowo wypytywał o niemieckie samochody pancerne, których ślady znaleźliśmy na drodze leśnej w Palmirach. Powiedziałem, że nie przyjechali oni po amunicję, lecz był to bojowy zwiad. Mieszkańcy poinformowali o dwóch samochodach pełnych żołnierzy uzbrojonych w automatyczne karabiny w mundurach z oznakami SS. Po skończeniu relacji pułkownik sięgnął do pudełka, wyjął Krzyż Walecznych IV klasy, przypiął do mojego munduru i powiedział: „Poruczniku, to za Wasze zasługi”. Ja zaś odpowiedziałem: „Ku chwale Ojczyzny, panie pułkowniku”. Byłem do głębi wzruszony, wróciłem do naszych bunkrów, gdzie otoczyli mnie podoficerowie z gratulacjami. Powiedziałem, że to dzięki nim i żołnierzom odnieśliśmy wspólnie ten sukces i że pamięć o tym i o nich zachowam do końca moich dni.

Gdy trochę ochłonąłem z doznanych wrażeń, przypomniałem sobie o pani majorowej z Żoliborza, która tak przyjaźnie mnie przyjmowała. Czy przeżyła wczorajsze naloty i nadal jest w swoim mieszkaniu? A może ona lub jej córka potrzebują szybkiej pomocy, może głodują?

Włożyłem do chlebaka duży kawał wojskowego razowca i kilka paczek papierosów i poszedłem z wizytą na plac Wilsona. Z daleka już zobaczyłem, że kamienica, w której mieszkała majorowa, zachowała się w całości. Odetchnąłem z ulgą i wszedłem na trzecie piętro. Otworzyła drzwi sama pani majorowa, od razu mnie poznała, poprosiła do środka i powiedziała: „Niech pan zobaczy, co się u nas stało”. Szyba w drzwiach pokoju, w którym spałem, była rozbita, na tapczanie leżało trochę okruchów tynku, a w miejscu, gdzie wtedy spoczywała moja głowa, zamiast poduszki była dziura. Okazało się, że około dwie godziny po moim szybkim porannym opuszczeniu tego mieszkania w szczytową ścianę budynku uderzył niemiecki pocisk artyleryjski. Byłem tym do głębi wstrząśnięty,

gdyż zdawałem sobie sprawę, że uniknąłem śmierci, a właściwie masakry. To był dziwny przypadek, już drugie moje ocalenie przed bezpośrednim trafieniem pociskiem w ciągu kilku dni. Czy to były przypadki? Przecież nosiłem szkaplerz z medalikiem z Matką Bożą. Przypomniałem sobie, że kilka lat wcześniej, gdy kończyłem Szkołę Podchorążych Piechoty w Pułtusku, podczas bierzmowania w miejscowej wspaniałej kolegiacie wybrałem imię Maria. Tak, więc modląc się do Matki Bożej i prosząc o opiekę, dostałem łaski ocalenia. Za tę łaskę dziękuję stale i będę dziękował do końca życia.

Następnego dnia, czyli 27 września, wezwał mnie dowódca Cytadeli i powiedział, że skoro jestem jedynym oficerem tu obecnym i zarazem znającym wszystkie zakątki twierdzy, to powierza mi opracowanie planu twierdzy, uwzględniające rozmieszczenie stanowisk wszelkich rodzajów broni na wałach oraz wyglądu przedpola wraz z odległościami. Otrzymałem kompas i arkusze papieru, a resztę potrzebnego sprzętu miałem własną. Wszedłem na zewnątrz na wały, aby zorientować się w sytuacji. Okazało się, że z niektórych miejsc można obserwować stanowiska niemieckie po drugiej stronie Wisły na Brudnie. Skoro tak, to również oni mieli wgląd w nasze stanowiska. Dlatego trzeba było czołgać się po ziemi, aby nanieść szczegóły na plan. Z dalmierza artyleryjskiego widziałem żołnierzy niemieckich poruszających się i leżących tak, jakby wygrzewali się na słońcu. To mi uprzytomniło, że wokół panuje spokój i cisza, że nie widać samolotów nieprzyjacielskich i nikt nie strzela. Było to niepokojące, ale zabrałem się za swoje czynności. Po trzech godzinach pomiarów miałem rysunek obwodu murów i wałów Cytadeli, rozmieszczenie stanowisk ciężkich karabinów maszynowych, dział przeciwlotniczych i punktów obserwacyjnych. Do tego dodałem wygląd przedpola i całość wręczyłem pułkownikowi. Nawet nie spojrział na moją pracę, położył ją na biurku i powiedział, że od rana obowiązuje zawieszenie broni, dlatego była taka cisza! A co to oznacza – łatwo się domyślić. W Warszawie skończyły się lub zostały zniszczone magazyny żywności i leków. Brakowało wody i elektryczności. Trzeba było chronić ludność, aby nie ginęła nie tylko z powodu bezpośrednich działań wojennych, lecz także z głodu i epidemii.

28 września gen. Tadeusz Kutrzeba i płk dyplomowany Aleksander Pragłowski podpisali akt kapitulacji Warszawy w fabryce Skody na Rakowcu. Równocześnie kapitulowała Twierdza Modlin.

Oprac. o. dr Marcein Jan Pietryja

Do cytowania:

Pietryja M.J. oprac., Wspomnienia prof. Aleksandra Ożarowskiego z 1939 roku, Herbalism, 2021, 1(7), s. 175–189.